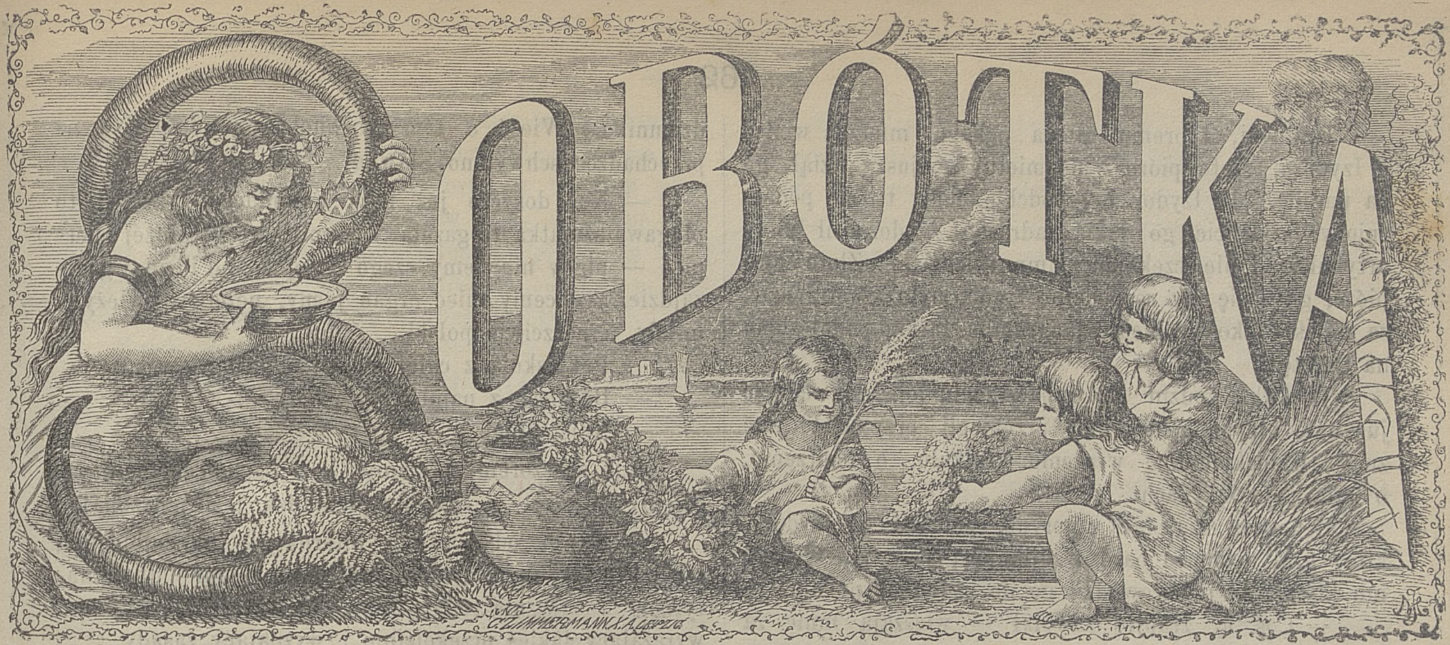




# TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 20. Poznań, dnia 15 Maja 1869. Rok. I.


## W MĘTNÉJ WODZIE.

### Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

W czasie obiadu u hrabinéj Wartskiéj, który poprzedził pamiętny Sławkowi wieczór w ogrodzie — nie zaszło nic wzmianki godnego. — Jadwisia przybiegła uśmiechnięta, wesoła, bo wrażenie smutnych scen powieści V. Hugo zatarło się, hrabina prześliczna, strojna, nadzwyczaj grzeczna była dla Samjela — widocznie go sobie ująć życzyła... Nie zwierzyła mu się wprawdzie z całą myślą swoją co do literackiego salonu... ale go zyskała jako sprzymierzeńca, gotowego iść za jéj rozkazami... Samjel oczarowany był jéj uśmiechem i uprzejmością.

W parę dni potém różne już wieści zaczęły obiegać po mieście, p. Sopoćko, który miał najwyborniejszą policyą, zawiadomił hr. Drejssową, że przeciw zdrowemo jéj wpływowi na społeczność, zdaje się skrycie formować spisek, a bodaj czy domu hr. Wartskiéj za stolicę knowań nie obrano...

Hr. Drejss ruszyła ramionami dumnie, Sopoćko nie nalegał ani zaręczał, ale coś go doszło... Naciśnięty mocniéj przyznał się, że mu nawet wskazano wodzów partyi w Sławku zagorzalcu... i w chytrym Samjelu... który dotąd — o potwora! za wcale dobrze myślącego uchodził. — Sopoćko nie zdawał się wielce obawiać tych przeciwników... ale na wszelki przypadek, szermierz ostrożny — zbierał już do arsenału swego wiadomości o genealogiach, pochodzeniu, przeszłości... pewnych osób, któremi by ich wpływ mógł odpierać.

Dzieje się to tak na całym bożym świecie — w podobnych razach, gdy opinie ścierać się mają, — walczą z sobą orężem osobistości. Nie idzie o przekonania, ale o tych, co je głoszą, jak gdyby koniecznie i zawsze niepocieszna butelka płyn skwaśniały zawierać miała... Trafia się to — to pewna, przecież bywa i przeciwnie... Tłuką się ludzie temi butelkami a płyn — na ziemię rozlewa.

Drabicki skłopany także, nosił się po mieście, siejąc przekąsy i dowcipy cudze o Sławku, bo go z powodu młodzieńczéj zapalczywości miał za niebezpiecznego przeciwnika. Szkodził mu szczególniéj, malując go za czerwono, chociaż sąm wśród gorących za najczerwieńszego rad był uchodzić.

Stan umysłów w kraju rolę jego codzień czynił trudniejszą — stronnictwa coraz dobitniéj zarysowywały się w nadziei jakiego i bliskiego wystąpienia czynnego — należało uchwycić się stanowczo jednego z nich. — W systemie człowieka takiego jak Drabicki, było zawsze trzymać z silniejszym, nigdy nie iść przeciwko prądowi dla prawdy, ale bodaj z prądem na nią — a możnażby to odgadnąć, po któréj stronie będzie przewaga i siła i narażać się na utraty drogiéj popularności?

Dłużéj zaś lawirować tak po cichu, wszystkim zaręczając sympatyą, a w Dzienniku okrywając się ogólnikowym potryotyzmem, co chwila stawało się trudniejszém... Często napierano na biedaka, aby jasno i wyraźnie wyspowiadał się z zasad i przekonań — tłómacząc się, musiał tłumić na pół łykanemi wyrazami.

Było więc o czém myśleć?

Na patryotyzmie ogólnikowym grać dłużéj już było niepodobieństwem, sam wyraz — ojczyzna — nie starczył...

Drabicki, któremu głowa pękała, mierząc wielce u Izydora, złote pióro i niezmierny genjusz, wziął go na naradę. P. Izydor był podchmielony, trochę podrażniony, szlachcic go jakiś zadrasnął... doradził silny artykuł... i nie czekając zaimprowizował. Złote owe pióro, gdyż się raz rozpędziło, trudno było powstrzymać, za daleko jakoś zabiegło i ogromne larum podniesiono na gazetę!!

W kilka godzin po wypuszczeniu jéj, gdy cofnąć już było niepodobieństwem, przybiegli przyjaciele dać znać Drabickiemu o wrażeniu artykułu, o oburzeniu, o hałasie, o krzykach...

Redaktor szarpiąc czuprynę, poleciał do Izydora, który grał w bilard bardzo zajmującą partyą... wyrwał mu kij z ręki i wprowadził go do osobnego pokoju.

— Coś ty zrobił! zawołał — wieszają mnie za artykuł.

— Com zrobił? a to dobre! zrobiłem to, czego ty sobie życzyłeś? Wszakżeś sam chciał tego...

— Ale nie tak gwałtownie! patrz! co za wyrażenia!

— Wszak ci czytałem... o głowo barania! zawołał Izydor, wszakżeś mnie ściskał i całował...

— Byłem roztargniony... to jest rzecz przebaczona, kto ma tyle na głowie, ale pan, pan jak mógłeś...

— A! dajże mi pokój!

— Co począć?

— Przetrwać burzę włożywszy czapkę na uszy... krzyczą i przekrzyczą się... niema co tego rozmazywać... pogadają i zamilkną...

Drabicki milczący ale wściekły wyszedł, a p. Izydor śmiejąc się, do partyi bilardu powrócił.

Tymczasem niefortunne owo wystąpienie, mimo zręcznych nader wykładów Redaktora... coraz większe wzbudzało oburzenie. Z tego powodu, jak to bywa zwykle, przypomniano jemu i gazecie wszystkie jego stare grzechy... Ludzie popularni są jak ci, co chodzą na laskach... Stoją wprawdzie wysoko, ale lada trącenie obala ich na ziemię... Drabickiego opanował strach paniczny. Napróżno w następnych numerach ratował się owém imieniem, ojczyzny, narodowości... owemi frazesami, które dawniéj skutkowały tak wybornie... dziś one w jego ustach wydawały się urągowiskiem.

Z przerażeniem dowiedział się, że kilka osób dobréj woli mocniéj niż kiedykolwiek, postanowiło wydawać dziennik, że szukano ludzi czystych, serc młodych, że... (było to przesadzonem), sypały się już nawet pieniądze.

Drabicki, który żył tylko gazetą, i bez niéj nie byłby ani ćwierć człowieczkiem... przeląkł się aż do postradania głowy i przytomności... Co tu było począć...

P. Izydor śmiał się...

— Dasz sobie radę! mówił — milcz, przyczepnij jak zając pod miedzą i czekaj pierwszego głupstwa, które zrobią przeciwnicy... skorzystasz z niego, bo ty to umiesz — i wypłyniesz.

Tymczasem wypadki z nadzwyczajną po sobie następowały szybkością, w kilka dni po artykule, z innego jakiegoś powodu zjechało się nieco obywateli do miasta... a jeden wniósł, aby się naradzić o mającym się założyć dzienniku. Wieść o tém gruchnęła po mieście — na przechadzce schwytano Sławka...

— No, dosyćże już tego bałamucenia kraju! to plugawa szmatka ta gazeta... niemożna tego dłużéj ścierpieć — nigdy niewiemy czego chce, dokąd idzie, i gdzie zajdzie... chcemy mieć organ jasny, uczciwy, świeży... młody, a poczciwie polski...

— Poklaskują z całéj duszy! odparł Sławek.

— Będziesz z nami!

— Najchętniéj.

Dziś wieczorem zbieramy się u pana Teofila, naradziemy — no — i złożymy pieniądze, jeśli potrzeba!

— Nawet od ostatniéj alternatywy nie odbiegam, rzekł Sławek, miejmy dziennik choćby mniéj dyplomatycznie i zręcznie redagowany, ale poczciwy, szczery, wyrażający jakieś przekonanie i wyznający zasady...

— A zatém wieczorem u pana Teofila...

— Służę.

Nim się jednak wszyscy zebrali u poczciwego pana Teofila, najzacniejszego z ludzi, otyłego, średniego wieku, sybaryty, który płakał ile mu kto razy wspomniał ojczyznę, ale w zawikłane jéj sprawy głęboko wniknąć nie był w stanie — już obawa o kieszenie wielu ostudziła...

Nad wieczór towarzystwo znalazło się daleko mniéj liczne, niż się obiecywało i nierównie chłodniejsze. Czyniono pewne niespodziewane objekta...

Pan Teofil Sierpiński wystąpił przy téj okoliczności, zaszczycony będąc zaufaniem współobywateli, z wieczerzą wspaniałą, z węgrzynem doskonałym i sercem prawdziwie polskiém...

Gdy prawie wszyscy zgromadzili się — powstał jeden z obywateli, który miał pewne prawo nazwać się oratorem... i zagaił posiedzenie przemówieniem za potrzebą dziennika...

Towarzystwo, w które Drabicki naturalnie wcisnął parę swych zwolenników już to, ażeby wiedzieć, co się tam dziać będzie, już by zręczną wywołać opozycyą, zaczerpniętą z głębokiéj znajomości charakteru narodowego, wysłuchało mówcy z uwagą... ale przez chwilę po nim nikt nie podniósł głosu...

Ośmielony tém pan Damian, niegdy żołnierz... znany z liberalizmu i patryotyzmu... w rzeczy cichy zwolennik poczciwego Drabickiego, który się nim różnie posługiwał, ośmielił się uczynić kilka uwag.

— Że dziennik poważny jest potrzebą, że ta potrzeba ogólnie uznana, że kraj wzdycha, aby na czele jego jako wódz opinii stanął mąż znany z prawości uczuć i potęgi umysłowéj — rozpoczął — to nie ulega wątpliwości, ale że tego rodzaju przedsięwzięcie wymaga ofiar ogromnych... to także prawda. Naprzód więc wynaleść należy środki...

P. Damian wiedział dobrze, że tém ubić będzie najłatwiéj projekt cały...

— Wnoszę zatém, rzekł, abyśmy zaraz podpisali się, co kto dać może i co ofiaruje, a summę złożyli na ręce, jako rękojmię, iż rzecz przyjdzie do skutku...

Nastąpiło powtórne milczenie, w tém Młyński, pochwycił arkusz papieru i drżącą ręką napisał — pięć tysięcy florenów...

Spoglądano mu przez ramię, młodsi przyklasnęli drugim, choć go przeklinali w duchu, miłość własna niedozwalała pozostać w tyle; niefortunny wniosek pana Damiana, który miał zrobić rzecz całą, w istocie groźną ją uczynił. Kilku gorętszych podpisało po pięć tysięcy, inni po dwa, trzy lub kilkaset. — Sam p. Damian, ubogi, musiał się na secinkę zdobyć.

Poszło to tak jakoś żywo, ochoczo i szczęśliwie, że w pół godziny, sami przytomni złożyli dwadzieścia kilka tysięcy, co ściśle biorąc, na początek było dosyć. Zmięszany wielce przyjaciel potajemny Drabickiego, nieśmiał już zabrać głosu... siadł w kącie z cygarem w ustach, skromnie przyjmując powinszowanie za szczęśliwą myśl, którą rzucił tak trafnie...

Odetchnęli wszyscy wolniéj... obiecując sobie w wypłacie jakoś uwolnić od ciężaru... zaczęły się rozprawy... nieposzanowano Drabickiego u nich, a przyjaciele jego ust otworzyć nieumieli... Dopiero po dobréj godzinie spędzonéj na gawędzie, zaczęły nieśmiało występować trudności i wszelkiego rodzaju opozycye...

Jedni znajdowali dziennik zbytecznym, a pieniądze zawcześnie stracone, gdy na potrzeby kraju lepiéj użyte być mogły, drudzy znikczemnienie dziennikarstwa przypisywali ogólnéj demoralizacyi wieku, która również i zagraniczną prasę kaziła, inni na ostatek praktycznie obiecywali, że intrygi Drabickiego, najzręczniejszego z ludzi, który już tyle pogrzebał dzienników... zabiją i to pismo... Młyński co pierwszy wystąpił z ofiarą rozgrzany wielką myślą, odezwał się znowu.

— Nie silmy się na przewidywanie wszystkiego, rzekł, patrzmy, gdzie obowiązek, mówmy co prawda, idźmy za zasadami, wyrzeczmy się polityki drobnych szachrajstw i przebiegłych frymarków, a potém — jeśli za dobrą sprawę ginąć przyjdzie zahukanym przez głupców i przechérów... gińmy... przyszłość nas usprawiedliwi!

Poklaśnięto mu, mówił daléj.

— Dziennikarstwo jest czemś więcéj niż sądzicie panowie i większa część ludzi, którzy z jednego arkusza sądzą o działalności trzystu w ciągu roku. Jest to powolna trucizna, lub lekarstwo powolne... Proces działania dziennikarskiego jest nowy, jest różny od innych, jest potężny nieustannością swą... Naród który się nie stara o ten wydoskonalony oręż, wyrzeka się boju i musi być zwyciężonym... Jeden numer pisma wydaje się słabym, a słabych trzysta są przecież potęgą, jeśli u nich choć hemeopatyczna doza prawdy jest zawarta. Dać w ręce intrygatora i spekulantom dzienniki, jest to powierzyć straż bezpieczeństwa publicznego ludziom wątpliwéj moralności. — Żadna społeczność na sprawę tę, sprawę wieku, obojętną być nie może...

Mowa ta, którą skróciliśmy — powiedziana już po herbacie (z rumem) trafiła na rozbudzone umysły, na rozczulone serca... Trzech obywateli uściskało, śliniąc poczciwego Sławka, czwarty mu prorokował wielką przyszłość, jeden wniósł, aby tego, co tak dobrze pojmował wzniosłość powołania dziennikarskiego, zrobić redaktorem.

Wniosek jednogłośnie przyjęto... napróżno Sławek składał się młodością i niedoświadczeniem, próżno wymawiał i chciał służyć pod innym wodzem... zakrzyczano go... Postanowiono, aby on wziął na siebie złożenie redakcyi i wyprowadzenie na świat nowego dziennika — co żyło, obowiązało się go popierać.

W tém dano znać, że wieczerza na stole, wszyscy przeszli do sali oświeconéj rzęsisto i zaczęli od kieliszka wódki, po którym poczciwy pan Teofil, niedając spoczynku nalał węgrzyna.. Około pieczystego, wszyscy gotowi byli... iść choćby z kijmi na działa, najcudowniejsza harmonia panowała między gośćmi, starzy nieprzyjaciele wśród wzajemnie sobie czynionych wyrzutów, ściskali się, poprzysięgając przyjaźń dozgonną... sam pan Damian na ucho przyznał niepytającemu go o to Sławkowi, że Drabicki nie jest czystym człowiekiem, chociaż ma — swe przymioty.

Chrzciny dziennika, oblano wyśmienitą kapką, pijąc zdrowie fundatorów, redaktora przyszłego, współpracowników, korespondentów, abonentów i protektorów... Dostało się po zdrowiu znakomitościom przytomnym i jednéj, która z powodu flunkcyi w zgromadzeniu uczestniczyć nie mogła.

(Dal. c. n.)

## Wstawaj słonko!

Wstawaj slonko złotowłose!
Z tobą dzień w méj duszy wstaje!
Nim wypijesz z kwiatów rosę,
Nim rozbudzisz senne gaje
I doliny i ruczaje —
Moja dusza hymn ci daje!
Wstawaj slonko złotowłose!
Ze skowronkiem hymn ci niosę!
Już zwiastun, świt różowy,
Strzaskał czarnéj mgły okowy,
Jak w méj duszy — świt nadziei,
Trzaska pęta złych kolei!
Wstawaj slonko! Świt różowy
Zbudził lilie do rozmowy
I odchylił róż kielichy,
By ci hymn szeptały cichy!
Ptaszek zerwał się z pościeli,
Trzepoce się i weseli,
Czeka, rychło promyk strzeli
I słonecznéj chce kąpieli.
Pod błękitnym nieba dzwonem,
Z sercem pieśnią nastrojoném
Czekam na cię, wstawaj słońce!
Jam w błękitnym nieba dzwonie
Z gorejącą pieśnią w łonie
Chcę być sercem — w świata dzwonie!
Zaśpiewałem.... piosnka tonie...
I zamilkła — znikąd echa!
Wstawaj słonko! tyś pociecha!
Za te drobne rymów sploty, —
Rzuć mi jeden — promyk złoty!

Berlin, 1869 r.

Wacław Pomian



**Wilno.**

## Wilno.

(Z ryciną.)

Wilno należy do jednych z najstarożytniejszych miast w Polsce. Latopisiec ruski donosi, że Wilno już około roku 1139 istniało. Według tradycyi ludowych, które następnie przez kronikarzy polskich spisane były, książę Świętoroch u zbiegu rzek Wilii i Wilejki świątynię Perkuna miał założyć, a w przyległym świętym gaju ogień Znicza zapalić. Bądź co bądź, to jest pewne, że Gedymin był założycielem Wilna, a powód jego założenia według podań jest następujący. Książę polując na zwierza, zabił tura w miejscu, gdzie od czasów Świętorocha palono ciała zmarłych książąt.... i gdzie była świątynia Peruna oblana rzeką i otoczona lasem. Strudzony łowami, już późnym wieczorem udał się na spoczynek, za łoże mając zgliszcza ciał protoplastów swoich. Na tém to miejscu miał sen, ktorego znaczenie najwyższy kapłan krewe-krewejto, nazwiskiem Lizdejko, tłómaczył koniecznością założenia miasta i twierdzy obronnéj.

Książę był posłuszny wyroczni, tak że już w roku 1322 widzimy stolicę Litwy przeniesioną z Trok do Wilna. Od téj chwili miasto wzrastać zaczynało, bo prócz książęcego przepychu jeszcze i wdzierający się z zachodu chrześcianie nowemi ozdobami je przystrajali.

Na skinienie Jagiełły w obec nadobnéj Jadwigi, panów mazowieckich i duchowieństwa katolickiego wywracano bałwany, obalano świątynie, wycięto święte gaje, zagaszono Znicz w dolinie Świętorocha i chrzcić poczęto zbiegające się gromady miast i okolic. Z chrześciańsłwem przemysł i handel ożywił się, gród wzbogacał się bezustannie nowemi pomnikami religijnemi, a oprócz tego pobyt częsty królów w stolicy, dodawał jéj blasku i okazałosci. Już to w całym ciągu dziejów miasta, najwięcéj ma ono do zawdzięczenia Zygmuntowi Augustowi. Zygmunt August jeszcze za życia ojca tytułem królewskim zaszczycony, rządził Litwą i w Wilnie z małżonką Elżbietą zamieszkał, przyczyniając się gorliwie do upiększenia stolicy. Rychły zgon w kwiecie młodości królowéj, niedługo zasmucał miękkiego Augusta. Życie na zamku płynęło koleją nieprzerwaną uroczystości. „Wilno, jak pisze Wawrzecki, było fabryką rozkoszy Augusta.“ Rozkosze i miłostki króla z piękną Barbarą, ku czemu nawet zamek z pałacami jéj nad Wiliją połączony był galeryą, pobudzały otaczających panów do naśladownictwa. Co czynił król, starali się naśladować dworzanie i ztąd poszło zdobienie się miasta w okazałość zewnętrzną, któréj dotąd nie było. Nowe miasto, jak trafnie powiada Kraszewski, urodziło się wśród Wilna. W téj epoce pomimo dwukrotnéj zarazy, Wilno liczyło 100,000 ludności. Od chwili Unii Lubelskiéj, tj. od chwili kiedy Wilno przestało być rzeczywistą stolicą państwa, upadek jego rozpoczyna się; nie mniéj jednak setki ważniejszych wspomnień dziejów naszych z niém jest złączonych.

Prócz Krakowa żadne z miast polskich szczęśliwiéj nad Wilno naturą nie było obdarzone. Otoczone górami i z jednéj strony kąpiące się w Wilii strumieni naszych rodzicy, któréj dno według poety tak srebrzyste jak lica dziewicy, jest jeżeli nie piękniejsze, to bezwątpienia równie urocze, jak którekolwiek bądź z miast nadreńskich. W środku miasta wznosi się góra w kształcie głowy cukru, u stóp któréj wybudowano kościół dziś katedralny na miejscu, gdzie niegdyś ogień Zniczowi był poświęcony. W wielkim ołtarzu do chwili obecnéj przechowują szczątki tego ogniska. Co parę kroków spotykamy się z kościołami, które ofiary pobożnych Jagiellonów lub panów litewskich wznosiły. Kilka z nich odznacza się niezwykłą pięknością, a mianowicie kościół św. Anny i św. Jana. Pierwszy jest budowany w czystym stylu gotyckim, a drugi mięsza gotyk ze stylem romańskim.

Do najwięcéj godnych uwagi miejsc należy sławna Matka Boska na tak zwanéj Ostréj Bramie ustawiona i ztąd Ostrobramską zwana. Obraz ma twarz ogromną, pociągłą, ręce złożone na krzyż, pochodzi z pierwszéj połowy XVII wieku. Do stóp téj bramy ciągnie co dnia krocie pobożnych Litwinów, szukając pociechy w nieszczęściach, jakie kraj ten więcéj niż inne prowincye polskie nawiedzają. Cynizm Moskali przed żadnym zaborem nie cofa się, kościoły wileńskie zmieniają się na cerkwie, a w kolei tych zaborów przypuszczamy, że Ostra Brama ostatnią będzie. Lecz pocóż te smutne myśli — ufajmy jéj potędze! Ufajmy, że Ostra Brama silna świętością i wiarą poddanych swoich nie zwyciężoną, lecz zwycięzcą będzie. W. H.

## Najnowsze wiadomości o słońcu.

(Dokończenie.)

Astronom francuzki Faye jest twórcą trzeciéj teoryi. Według niego jest słońce ogromną kulą palących się gazów i podobnie jak każdy płomień jest ono jaśniejsze na obwodzie swoim niż wewnątrz; jądro więc słoneczne nie jest ani masą stałą, ani masą płynną, ale gazową; jest ono wprawdzie ciemne, ale o wiele cieplejsze od świecącéj otoczni; plamy zaś tworzą się wtenczas, gdy w fotosferze powstaną otwory, przez które wewnętrzna i niedająca żadnego blasku masa gazowa się przebija. „W takim razie jednakże“ — powiada Kirchhoff, „powinnibyśmy przez jądro wskroś przejrzeć na drugą stronę fotosfery, w którym to razie plamy stałyby się niemożebnemi.“

Jakkolwiek teorya Kirchhoffa najwięcéj sobie zjednała zwolenników, to przecież i ona niejednego z nich zadowolnić nie mogła z różnych bardzo powodów. Chodziło o rozstrzygnięcie wielu punktów spornych, na które teoryi téj zbywało albo stanowczych dowodów albo też i odpowiedzi. Jakże tu uzyskać było pewność, że narosty przyczepione są do słońca, a nie są delikatnemi chmurkami utworzonemi w powietrzni ziemskiéj wzdłuż ostrosłupu cienia, że słońce jest masą stałą lub płynną, a nie gazową — świecącą, a nie ciemną — że promienie oświecające i ogrzewające wychodzą z jądra słonecznego, a nie z jego otoczni?

Z tego powodu od dawna sposobili się astronomowie na uważanie całkowitego zaćmienia słońca, które przypadło w dniu 18 sierpnia 1868, spodziewając się, że zaćmienie to uważane pod okolicznościami nader sprzyjającemi, odkryje nam wiele ciekawych i dotąd nieznanych szczegółów i rozszerzy znakomicie zakres dotychczasowéj naszéj wiedzy o fizycznym ustroju słońca. Nadzieja ta była tém więcéj uzasadnioną, że astronomowie postanowili tym razem prócz zwykłych sposobów obserwacyi uczynić zastósowanie jak najobszerniejsze z dwóch nowych środków pomocniczych badania fizykalnego, tj. fotografii i rozbioru widmowego czyli spektralnego.*)

*) Aby nie odstręczać szanownego czytelnika rzeczami specyalnie naukowemi, nie będziemy opisywać szczegółowo aparatu spektralnego; dla dalszego tylko zrozumienia rzeczy nadmienić tutaj winniśmy, iż skierowawszy aparat ten na płomień jakikolwiek dostrzegamy w nim widmo optyczne (spectrum) tegoż płomienia — obraz znacznie powiększony i ubarwiony zazwyczaj kolorami tęczowemi. Zależnie od chemicznych pierwiastków zawartych w płomieniu palącego się światła występują w widmie tym różne barwy i linie ciemne, z których na odwrót chemiczne te pierwiastki jak najdokładniéj oznaczyć można. W ten sposób uskutecznić się dają najsubtelniejsze rozbiory chemiczne.

Oczekiwania nie zawiodły. Astronomowie powrócili lub powracają do domu z bogatym plonem i dziś zajęci są opracowaniem lub zużytkowaniem zebranych materyałów. Ich zdobycze streścić się dają w sposób następujący.

Otóż pan Janssen wysłany do Indyi Wschodnich donosi, że widział narosty bardzo wyraźne i badał je aparatem spektralnym, w którym się przedstawiły linie „niespodziewane i uderzające.“

Expedycya francuzka do Siamu uważała 4 grupy narostów barwy koralowo-różowéj do lekko-fioletowéj, widzialnych gołém okiem w czasie największego zaćmienia.

Expedycyi pruskiéj udało się zdjąć kilka wybornych fotografii zaćmionéj tarczy słonecznéj i jéj narostów.

Profesor Spörer, który miał udział w expedycyi do Indyi, donosi, że z jego dostrzeżeń i badań wynika, iż narosty jak najwyraźniéj są poprzednikami plam słonecznych. Szczegół ten bardzo przemawia za teoryą Kirchhoffa, która przez większą część uczonych niemieckich przyjętą została.

Najważniejsze jednakże wiadomości o ustroju fizycznym słońca, zawdzięczamy odkryciom Francuza Janssena. W listach swoich pisze on, że rozbiór spektralny narostu okazał, iż tenże jest palącym się słupem gazowym, składającym się przeważnie z wodorodu. Widmo narostów w tém się różni od widma tarczy słonecznéj, że w pierwszém ukazują się pręgi jasne właśnie w tém miejscu, gdzie w widmie tarczy słonecznéj pojawiają się linie ciemne. Zbadawszy tę właściwość widma narostów odkrył Janssen, że widmo to uważać można aparatem spektralnym nie tylko w czasie zaćmienia słońca, ale i w innym czasie, jeżeli tylko przyrząd się skieruje w miejsce właściwe. Toż samo odkrycie zrobił — o czém poprzednio już wspomnieliśmy — na odmiennéj drodze p. Lockyer i dziwnym trafem doniesienie jego równocześnie z doniesieniem Janssena przedłożoném zostało akademii. Metoda tych dwóch uczonych (z tego powodu jest nader ważną, iż dozwala ona astronomom każdego czasu badać powłokę słoneczną oddzielnie od jądra tegoż ciała i spodziewać się każe, że po niedługim czasie właściwości fotosfery i jądra jak najdokładniéj zbadane i rozdzielone zostaną.

W jednym z listów swoich datowanych z dnia 8 stycznia 1869 pisze p. Janssen:

„Zastósowaniem téj metody doszedłem do odkrycia, że materya narostowa znajduje się wszędzie na okół tarczy słonecznéj, gdzie tworzy pierścień ciągły, którego narosty są tylko prostemi wywyższeniami.“

Ostatni list czytany na posiedzeniu Akademii francuzkiéj dnia 8 lutego rb. dał powód sławnemu astronomowi Le Verrier do odczytania kilku wyjątków z raportu swego, pisanego do ministra oświecenia z powodu zaćmienia słońca uważanego w roku 1860 w Tarrazona. W jednym z nich powiada Le Verrier: „Zapewniano nas, że słońce jest kulą ciemną na okół któréj znajduje się atmosfera złożona z chmur ciemnych; po nad tą umieszczono fotosferę, powłokę gazową, świecącą samodzielnie, — źródło blasku i ciepła słonecznego. Skoro chmury fotosfery przerwą się tu lub owdzie, odkrywają ciemne jądro słońca i w ten sposób przedstawiają plamy, które dostrzegamy często. Do tego składu tak skomplikowanego dodaćby jeszcze potrzeba otoczniął utworzoną przez chmury różowe.

„Otóż obawiam się, że większa część tych osłon jest tylko czystym wymysłem; słońce jest ciałem świetném z powodu wysokiéj temperatury i otoczoném warstwą ciągłą materyi różowéj, któréj istnienie dziś już znamy. Gwiazda w ten sposób złożona z ciała środkowego płynnego lub stałego, otoczonego atmosferą, wstępuje w prawa ogólne składu ciał niebieskich.“

Według najnowszych poszukiwań Franklanda i Lockyera wymaga jednakże teorya Kirchhoffa wielu modyfikacyi. I tak zdaje się, że atmosfera Kirchhoffa nie jest mięszaniną różnych gazów, lecz przeważnie składa się z wodorodu i pierwiastku dotąd bliżéj nam jeszcze nieznanego, który ukazuje się w jéj widmie i wywołuje pręgę żółtą, która jednakże wcale nie jest identyczną z pręgą sodu.

Ojciec Secchi, sławny astronom rzymski, dostrzegł w dniu 24 i 27 lutego r. b. w atmosferze słonecznéj dwa pyszne narosty właśnie nad tém miejscem obwodu tarczy słonecznéj, nad którém dwie jasne pochodnie błyszczały, daléj stwierdził tenże sam astronom, że pierścień warstwy różowéj, czyli narostowéj oddzielony jest od brzegu słonecznego cienką warstwą, w któréj większa część linii świetnych znika lub staje się niewyraźną.

Dotąd widzieliśmy, że wszystkie te nader ważne dla astronomów wypadki mamy do zawdzięczenia spektroskopowi, narzędziu fizykalnemu, za pomocą którego nie tylko atmosferę słońca, lecz nawet i atmosfery gwiazd stałych rozebrano. Aparat ten otworzył astronomom nowe drogi w przestwory niebieskie, które przed laty kilkunastu jeszcze za całkiém niedostępne uważano.

R.

# O tańcach w Polsce.

(Dokończenie.)

Krakowiak znamienuje lud bliski jeszcze natury oraz najżywszą wesołość. Śpiew jest tu nieodłączonym towarzyszem krakowiaka, a tańczący czasem nie złym poetą. Taniec ten więcéj okazuje entuzyazmu i siły, aniżeli sztuki. Jak polonez jest obrazem życia staropolskiéj szlachty w Rzeczypospolitéj, tak Krakowiak rzeczmożna obrazem rządów patryarchalnych. Jeden tu rej wiedzie, a według jego poruszeń i wskazanéj skrzypkowi nuty wszyscy inni tak skaczą, jak on ich prowadzi. Taniec ten jest do tego stopnia narodowy, a raczéj prowincyalny, że nikt z innéj prowincyi dobrze naśladować go nie potrafi. Brzęk licznych kołek, dawanie ognia o stal podkówkami, wybijanie hołubców, chorem powtarzane wykrzyki radości, znamienują lud tęgi i bitny.

Krakowiak jest to istotny balet przedstawiający historyą miłosnego romansu. Młoda para występuje na scenę przed muzyką, tanecznik staje z miną junacką, napuszony młodością i świątecznym ubiorem, lecz zadumał się i szuka natchnienia do śpiewu. A gdy zalotnik staje się coraz śmielszym, dziewica w inną stronę uchodzi, młodzian za nią goni, dając przez to dowody zręczności i przywiązania, a dognawszy miłą sam ucieka, którego znowu dziewica goni, aż w wspólném objęciu miłe kończą pląsy.

Gdy Stanisław August był w Krakowskiém na balu, tańczono Krakowiaka w ubiorach ludu. Jeden znakomity tanecznik, majętniejszą od siebie kochający z wzajemnością, ale doznający dla tego trudności ze strony rodziców, jako przodownik w śpiewkach improwizowanych sławił dobroć króla i swoje opiewał nieszczęście, a kończąc taniec ukląkł ze swą kochanką przed królem, który tém uniesiony wstawił się za klęczącą parą do rodziców i pozyskał dla niéj ich zezwolenie.

Taniec warstw wykształconych społeczeństwa polskiego był na całéj przestrzeni kraju jeden i ten sam; między ludem jednak nie tylko w każdém województwie, ale niemal w każdym powiecie inaczéj tańczono. Poloneza, inaczéj polskiego czyli wielkiego tańczy lud

prawie wyłącznie tylko na weselnych godach i to przy oczepinach ze śpiewkami o rozmarynie. Krakowiaka czyli małego tańczą tylko w Krakowskiém i po kuligach szlacheckich w ubiorach krakowskich. Goniony, Dreptany, Suwany Skalmierzak są to modyfikacye Krakowiaka. Najpowszechniejszym atoli tańcem w całym kraju u ludu jest Kujawiak czyli Obertas ze zwrotem w prawo i w lewo, niekiedy ze śpiewką. Tańcujący go do przodku, krzyknął raz po raz obróćta się, a całe koło przeciwny wzięło kierunek w tańcu i ztąd powstała nazwa obertas. Ztąd dziś jeszcze być w obertasach czyli być w obrotach przenośnie jedno i to samo ma znaczenie.

Narzędziami muzycznemi do rozbudzenia ochoty wiejskiéj po karczmach są skrzypce, a obok nich basy, nadające zwykle takt akordem prożéj kwinty. Skrzypek wiejski, grajkiem lub wesołkiem zwany, zwolując innych do powszechnéj ochoty, coraz bardziéj sam się przy grze zapala, — przechyla głowę ku skrzypcom i nadstawia im ucha, jakby chciał podsłuchiwać z głębi najczęściéj bardzo niedokładnie zbudowanego instrumentu wydobywające się tony. Gdy gra z zapałem, mówią, że rznie od ucha. Dudy czyli kobza wychodzi już prawie zupełnie z użycia i tylko w niektórych stronach Wielkopolski. w Tatrach i na Rusi jeszcze słyszeć się daje, dzieląc w tém los liry i żydowskich cymbałek.

Wspomnieć tu jeszcze należy pełne zręczności i siły tańce górąlów naszych. Najulubieńszym ich instrumentem jest ligawka. Jest to drewniana trąba na dwa łokcie długa. Głos donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, zdaje się jak gdyby z piersi górala był wydobyty i dziwne, ale bardzo miłe robi wrażenie, kiedy się rozlegnie po puszczy lasów, po dolinach, kiedy ginie na skalistych szczytach i odbija o strome ich ściany. Trudno dać wyobrażenie o tańcu góralskim. Ma on jednę figurę, właściwą tylko góralom; kiedy zamknięty krążącém kołem tanecznik, wyprawia na środku rozmaite skoki, a razem ciska raz po raz siekierką w górę i z zadziwiającą zgrabnością chwyta ją w powietrzu. Nadaje to jakiś męzki charakter tańcowi, przypominając wojenne tańce starożytnych. Melodya całkiém jest oryginalna. Jest niby jednotonna, a przytém tak rozmaita, tak jakoś nieskończona, tak przytém dzika, że mieszkający od dawna między góralami wygrać jéj nie mogą i mało kto, nie będąc z urodzenia góralem, tego dokazał. *J. L.*

# Nieco o Towarzystwach wstrzemięźliwosci.

Budzące się na nowo w naszym kraju zajęcie dla Towarzystwa Wstrzemięźliwości, otwiera nam pożądaną sposobność przypomnienia kilku szczegółów co do początku i rozwoju podobnych stowarzyszeń w narodach, które nas w tym względzie wyprzedziły.

Zawsze duchowieństwo ganiło zbytki, a nakazywało wstrzemięźliwość, ale dopiero od pół wieku zrodziła się między świeckimi myśl łączenia się w Towarzystwa, które miały na celu zrzeczenie się wszelkich gorących napojów. Dała do tego hasło pierwsza Ameryka 1825 roku. Niebawem Anglia podjęła tak zbawienny pomysł i na wielką rozszerzyła go skalę. W roku 1828 Jan Dunlop począł objeżdżać Szkocyą, mianowicie fabryczne miasta, w których pijaństwo przechodziło już wszelkie granice, wszędzie publiczne w tym przedmiocie miewał odczyty, i zawięzywał stowarzyszenia. Oto jak on opisuje pierwszy swój krok w Glasgowie, mieście wsławioném z pijaństwa i bijatyk: „Postanowiłem dać mą prelekcyą w poniedziałek W sobotę więc wieczór nająłem lokaja w liberyi do rozniesienia zaprosin na nią. Wyszedłem niebawem na miasto, ażeby widokiem opiłych tłumów dodać sobie odwagi i należycie przygotować się na me wystąpienie. Ledwiem kilka kroków uszedł, patrzę kto mnie potrąca, a to mój wysłannik, pijany, że aż z nóg się wali. Doskonały, pomyślałem, herold do rozrzucania zaprosin na naukę o wstrzemięźliwości. Oczywiście, mego sprawunku nie dokonał, i całą pakę niedoręczonych listów mi oddał W tém, kiedym go jeszcze strofował, przybliża się do mnie tragarz, który podsłuchawszy o co idzie, usługi mi swoje ofiaruje. Z razu nie chciałem ich przyjąć, bom dla tego był właśnie najął służącego w hotelu, żem wiedział, iż trzeźwego tragarza pożal się Boże szukać w sobotę. Zapytałem go, zkąd taka gorliwość, a on na to: Jeżeli dobrodziéj wprowadzisz wstrzemięźliwość, to żadna klasa tyle z tego nie skorzysta, co nasza. Szukałem więc, gdziem znaleść nie mógł, a znalazłem gdziem, się tego najmniéj spodziewał." Odczyt zyskał panu Dunlop mnóstwo zwolenników. Dzienniki poczęły coraz gorliwiéj przedmiot ten rozbierać. W 1829 r. Glasgowskie Towarzystwo otrzymało swe stanowcze urządzenie. Za niém poszły inne w różnych miastach szkockich, i już przy końcu tegoż roku liczono ich do stu, obejmujących 15,000 członków.

Henryk Forbes, zachęcony przykładem północnych sąsiadów, wprowadził pomysł ich do Anglii właściwéj. Głosił ją najprzód w hrabstwie York, w którém najwięcéj jest miast rękodzielniczych. Wysłano ajentów po wsiach, zbierano mityngi, rozrzucano wszędzie i darmo druki, wykazujące smutne skutki nałogowego pijaństwa. Postępowała poprawa, ale nie dość szybko. Już i w Ameryce spostrzeżono, że po pierwszych chwilach rączego postępu, nagle przychodziło osłabienie. Pokazało się wkrótce, że przyczyną tego było, iż Towarzystwo dotąd istniejące, nie trzeźwość bezwzględną, ale tylko wystrzeganie się alkoholicznych trunków nakazywały. W Anglii przeto, gdzie lud w ciężkiém piwie najbardziéj smakuje, zakaz wódki nie wiele dobrych skutków sprowadzał.

Przyszedł więc czas na ściślejszą reformę. Tę jednocześnie zaprowadziły dwa Towarzystwa, Prestońskie i Paislejskie, w r. 1832. Nowéj zasadzie dano nazwano Teetotalism (Tee stary wyraz, który znaczy co do krzty, co do joty, a zatém zupełny, bezwyjątkowy, bezwzględny). Lud skwapliwiéj począł się garnąć do tak jasnéj a zbawiennéj myśli. Nowych Towarzystw najwięcéj powstało w klasie najniższéj. Przytém daleko już mniéj było nie dotrzymujących raz danego przyrzeczenia. Lecz daleko jeszcze było do osiągnienia pożądanego celu. Sprawa szła nieco prędzéj, ale żadnego znamienia powszechności nie miała. Trzeba było czystszych początków, świętszych nakazów, wspólnego środka, jednego człowieka, przewodnika.

Gdzież się miały te świętsze nakazy, jedność działania i jeden znaleść kierunek? Nie jest to ani tajemnicą, ani żadnym nowym zarzutem przeciw protestantyzmowi angielskiemu, że podzielony na sekt kiikadziesiąt nie ma i mieć nie może powagi w obec ruchów i przemian moralnych w narodzie. Nie jest z drugiéj strony ani przesadą, ani nietolerancyą, twierdzić, że kościół katolicki, mocno i szczelnie w sobie zestawiony, jeden, ogólny, troskliwie kierujący sumieniami, wydający z siebie ludzi nieograniczonego poświęcenia, jedynie jest zdolnym nadać każdemu postępowi znamię jedności i powszechności. Człowiek więc, który miał dzieło trzeźwości, słabo w Anglii przez innych poczęte, nie tylko w swym kraju w zupełności rozwinąć, ale dobrym przykładem całą Europę ku niemu pociągnąć, musiał wyjść z katolickiego społeczeństwa, z pomiędzy duchownych, z zakonniczéj celi. Tym był Teobald Mathew, kapucyn z Cork w Irlandyi.

Stan Irlandyi był wtedy pod względem trzeźwości jak najopłakańszym. Irlandczyk jeść nie miał co, a pić zawsze musiał. Ośmiomilionowa, po większéj części

nędzna ludność wypróżniała do roku do 16,000,000 garncy wódki, opłacającéj podatki, co jeszcze żadnéj miary nie daje, co do opilstwa pojedyńczych, bo najprzód z téj ludności wyłączyć potrzeba dzieci, kobiety i przeszło milion zamożniejszych Anglików, a potém niesłychana liczba potajemnych gorzelni dostarczała więcéj niż drugie tyle alkoholicznego napoju. Ztąd liczne zbrodnie, rabunki i morderstwa.

Od lat wielu żył Ojciec Mathew w zaciszu klasztorném w Cork. Swiątobliwość jego, nauka i dobroczynność zrobiły go głośnym na całą okolicę. Smucił się on nieszczęśliwą skłonnością swego narodu i przemyśliwał, jak ją powstrzymać. Lecz jak człowiek mocnego postanowienia długo przepasywał swe biodra, długo się na modlitwie i rozmyślaniu doświadczał, nim się w swą apostolską podróż wyprawił. Wystąpił nareście 10go kwietnia 1838. Zebrawszy liczne zgromadzenie, objawił mu, że ma wyższe posłannictwo do zdjęcia z ludu zakały, która dotąd wnętrze jego toczyła. Ukląkł, odmówił modlitwę i wezwawszy błogosławieństwa Bożego nad przytomnymi, począł ich powoływać do składania przyrzeczeń na zupełną trzeźwość. Od razu całe zgromadzenie najwięcéj z prostego ludu złożone, przyjęło tak zwane pledge, czyli zobowiązanie się, którego świadectwem było zapisanie nazwiska w księdze, otrzymanie kartki wpisowéj na dowód i medalik rozdawany przez kapłana. Dwa razy w tydzień zbierając podobne gromady, Ojciec Mathew nie ruszywszy się z Corku, przyjął w ciągu ośmiu miesięcy 150,000 zwolenników. Gruchnęła jego sława po całéj Irlandyi. Poczęto odprawiać pielgrzymkę do Corku, jak do ziemi świętéj. Gdy już wszędzie rola dobrze przygotowaną była, wybrał się zacny kapłan w następnym roku na objazd całego kraju. Zaraz w Limerick, mieście słynném z swych licznych gorzelni, 150,000 osób w przeciągu dni kilku złożyło swe przyrzeczenie w jego ręce. Gorzelnie wszystkie właściciele dobrowolnie pozamykali. W Dublinie jeszcze większe czekały go tryumfy. Tam kilkakroć tysięcy śluby swe złożyło. W przeciągu roku 237 szynkowni w stolicy Irlandyi zamknięto. Natomiast liczba przestępców o $^2/_3$ się zmniejszyła, a wkłady do kas oszczędności w dwójnasób urosły. (Dokończ. n.)

# ROZMAITOŚCI.

## O bractwach strzeleckich.

Zwykle w drugie święto Zielonych Świątek ruch niezwykły po wszystkich prawie miastach i miasteczkach naszych panuje: bębny się odezwały, strzelcy się gromadzą i idą w żołnierskim porządku z chorągwią na czele przy odgłosie muzyki rano do kościoła; — a po południu odprowadzają starego króla kurkowego do strzelnicy, bo dzisiaj kończy się jego panowanie, już złoży swój łańcuch jako znak swéj godności na szyję następcy, chyba, że celnym strzałem utrzyma się jeszcze i przez ten rok cały na dawném stanowisku.

A wszystko co żyje, wylewa się do strzelnicy. Co tu za ruch! co tu za życie! zgiełk, wrzawa, wywoływania, strzelanie, gry, zabawy, przysmaki. Tam przy odgłosie bębna słychać raz po raz strzały, a czasem Vivat zahuknie w powietrzu, gdy szczęśliwiec jakim przypadkiem najwyższy strzał podbije. Co tu uciechy i zazdrości! Wyborny strzał! już go nikt nie podbije. — Ba! daleko do centra, jeszcze nie koniec.

A około strzelnicy budy, budki, stoliki z piernikami, szkłem, porcelaną, ruletą: Czwartego ta! — lewek pauzuje! — na pannę kto stawi? — Jeszcze jeden bilet, za trojaka szklanka piękna rznięta do wygrania! Kto chce wygrać piernik toruński? I wszyscy się cisną, wielcy i mali, a co uciechy, komu się uda wygrać szklankę i piernik; nie wiedzą biedaki, że dobrze swe szczęście opłacili.

Lecz zkąd te bractwa strzeleckie? dawnoż one istnieją? dla czegoż królem kurkowym zwycięzca się zowie? Łatwa na to odpowiedź. W średnich wiekach napadali rycerze łotroscy miasta bogate i łupili je bez litości; a że nie było znikąd pomocy, sami mieszczanie pomyśleli o swéj obronie, zawięzali się w bractwa i ćwiczyli się w strzelaniu. I otóż początek miast hanzeatyckich, za niemi poszły i inne miasta, wszędzie pozaprowadzano bractwa strzeleckie. Z początku strzelano z łuków lub i broni palnéj do ptaka kurka; kto odstrzelił jemu skrzydła, ogon lub łeb, dostawał w nagrodę półmisek cenowy, na którym było wyobrażenie téj części kurka, którą odstrzelił; a kto w piersi ugodził, został królem kurkowem; zawieszano mu na szyi kurka srebrnego, i wśród wiwatów rozlicznych, przy odgłosie muzyki i strzelaniu odprowadzano nowego króla do jego mieszkania, a król nowy idąc z dumą majestatycznie rozrzucał na wszystkie strony pieniądze, a gawiedź uliczna rozbijała się, goniąc za tą szczodrobliwością nowego króla kurkowego. Przybywszy do mieszkania król nowy, hojnie raczył braci strzelców i dostojne miasta osoby. Ustało strzelanie do kurka, bo go dzisiaj tarcz zastępuje, ale miano króla kurkowego pozostało.

W Polsce najdawniejsze takie bractwa strzeleckie były w Krakowie, Poznaniu, Warszawie i w Włocławku.

W Krakowie bywał król z całym dworem na owym obchodzie, a najznakomitsi panowie nie pogardzali strzelać do kurka, sam nawet pan Krakowski od tego się nie wymawiał. Bo też król kurkowy w Krakowie był królem nielada; miał mnóstwo przywilei i tak mógł 99 beczek wina wprowadzić bez cła, a że to było rządowi nader uciążliwém, wyznaczono mu roku 1765 až 300 złotych polskich. W Krakowie przechowuje się jeszcze podziśdzień srebrny kurek, który Zygmunt August roku 1565 tamecznemu bractwu darował, jest to pamiątka nader cenna, a i w śrebrze niemałéj wagi, bo, gdy w 18 wieku przyszła wielka potrzeba, zastawiono go za 2700 tynfów, co uczyni 600 talarów. Przywilejów królowi kurkowemu Krakowskiemu najwięcéj nadał Władysław IV, bo on go uwolnił od danin, ceł i podatków.

W Poznaniu strzelano jak wszędzie najpierwéj do kurka z łuków, później dopiero z broni palnéj; i tutaj kurek ustąpił postępowéj tarczy. Magistrat oddał prawa roku 1537 bractwu strzeleckiemu, a Zygmunt August uwolnił króla kurkowego roku 1554 od wszystkich podatków rządowych.

W Warszawie również bardzo dawno istniało bractwo strzeleckie; a i tutaj znajdował się kurek śrebrny na ratuszu z r. 1552 zapewne także dar Zygmunta Augusta. Czy dzisiaj jeszcze istnieje? czy się jeszcze dotąd ostał przed łakomą ręką grabieżców?

W Włocławku może najdawniejsze jest bractwo strzeleckie w całéj Polsce, albowiem istnieje tutaj od niepamiętnych czasów. I tutaj strzelano z początku do kurka, a król kurkowy wolny był od danin i podatków i brał jeszcze drzewo z lasów biskupich.

Dzisiaj ustała potrzeba bractw strzeleckich, bo ku obronie mamy wojska rozliczne; a bractwa te są obecnie tylko ku zabawie. Jako niewinnéj zabawy nikt nie nagania, tak i bractwa strzeleckie mogą istnieć i służyć ku zabawie, byle ta zabawa nie wychodziła po za obręb możności pojedyńczych członków, bo powinność ojca, utrzymanie rodziny przedewszystkiém; a występkiem jest ginąć przez zabawę.

Bawmy się, lecz i przy zabawie
Nie zapominajmy i o naszéj sprawie.

X.

## Szarada.

Z pierwszą z drugą drzewo tyje,
Pierwsza z trzecią boleść sprawia,
Całość dycha, rośnie, żyje,
Często w złoto się oprawia.

(Rozwiązanie szarady w nr. 19: **Sobódka.**)

## PUSZKA DO LISTOW.

Pani S. Szaradzińskiéj w Rzegocinie w Galic.: Czujemy się mocno zobowiązanymi. Zamieścić nie możem, ściągnęlibyśmy bowiem na siebie straszną burzę z powodów dobrze Pani znanych. Z Nowym Yorkiem, z Ameryką w ogóle, nie mamy żadnych stósunków prócz tego, że nie czekając za zezwoleniem kongresu umieściliśmy portret prezydenta. Zresztą przy innych danych chętnie zamieścimy nadesłany utwór, by „imię zostało uwiecznione.“ — Panu S. W. w O. w Galicyi. „Nie będziemy robili hałasu, nie wrzucim do kosza, gdzie inne leżą prace nie tak słynne.“ Pierwsze próbki wyborne. Dziękujemy. — Panu Wład. St.n w Inowr.: Wspaniała ruina, umieścimy ją w krótkim czasie. Serdeczne podzięki za jedno i drugie. — Panu Wł. Łb. w Tor.: Do Pana Fes. napisaliśmy, odbitkę nadeślemy, ale dopiero w trzy tygodnie. — Panu W. P. w Berlinie: Dziękujemy. Panu Now. w Mix.: Cośkolwiek nie jasne. Prosimy o pamięć. — Panu T. Kow. w Gąsawie: W tych dniach prześlemy pocztą. — Panu W. J. Mar. w W. pod K.: Dziękujemy, polecając się nawzajem łaskawym względom.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.